

– Nie blokuj kolejki! – Paweł szarpał mnie za ramię.

Zawiesiłem się na jakiś czas, słuchając „Breadfan” Budgie. To, co facet wyczynia z gitarą, pozwala słuchającemu na osiągnięcie orgazmu nawet podczas obierania ziemniaków.

Czyste LSD.

– Już? Dawaj.

Paweł podał mi kieliszek. Zakołysało autokarem i trochę ułało się na spodnie. Cholera.

Przechyliłem naczynie i otarłem usta grzbietem dłoni.

– Za godzinę będziemy na miejscu. – Kolega z trudem polewał przy podskokach pojazdu.

Bieszczadzkie drogi cały czas pozostawiają wiele do życzenia, mimo gwałtownej asymilacji środków unijnych. Zbyt duże zapóźnienia cywilizacyjne.

– Piękny ośrodek, sam zobaczysz. Byłem tam dwa lata temu. Kolega ze studiów kupił i odstawił tak, że mucha nie siada...

Paweł był rodowitym rzeszowianinem z nieuleczalną miłością dla tych gór. I słusznie.

Bieszczady mają w sobie coś ulotnego i wprawiającego wrażliwego człowieka w jakiś nostalgiczny, ba, metafizyczny nastrój. Stosunkowo łatwe do chodzenia, dzięki i jeszcze w miarę puste. Otulone krwawą i mroczną historią, ubrane w stare cerkwie i opuszczone w wyniku akcji „Wisła”, wsie. Ledwie widoczne wśród gąszczy pokrzyw i leszczyn, patrzą na przechodzącego podmurówki domów, które pamiętają krzyk przerynanych piłą mężczyzn, szaleństwo gwałconych kobiet i błękitny wzrok przerażenia w oczach dzieci, kiedy ich główki rozbijano o ściany.

Nie będąc autochtonem, dzieliłem jego miłość.

Wieloletnie wizyty w charakterze palącego i pijącego harcerza na zawsze zaszczyły we mnie to uczucie.

Tyłu wspomnień i emocji tu doświadczyłem.

Otrząsnąłem się z nostalgii, patrząc na przewijający się za oknem pejzaż. Eksplozja wszystkich odcieni zieloności, rozlanych na palecie szalonego malarza. Sunący z dużą prędkością autokar artystycznie rozmywał każdą obserwowaną przez jego szyby, barwę.

Jedziemy na majówkę, by odpocząć od zimy i stresującego kieratu pracy. Oznacza to mniej więcej Zalew

Soliński rozrobionego z miodem spirytusu, załatwionego przez Waldka. Spiryt jakimś cudem wyciekł przez nieszczelne ogrodzenie z lubelskiej gorzelni. Peowiec i szef socjalnego w naszej szkole w pełni zasłużył na swoje kierownicze stanowisko w tej komórce organizacyjnej.

Na tyle wozu zawodziły całkowicie zintegrowane działy: polonistyki, zawodowców i ścisłych:

– Ore, ore!

– Piotrek, weź gitarę i chodź tutaj. Siedzisz tam jak kołek, a tu grajka potrzeba...

– Najmniej to wam muzyki przy tym śpiewaniu potrzeba.

Zarechotali.

– Dziś ognisko, jutro spływ i szlak cerkwi. Bogato nam się zapowiada program. A kiedy czas wolny? – Lidka, matematyczka, popatrzyła na mnie.

Długo i dokładnie, jakby chciała przeczytać myśli odbite w źrenicach. Reszta, już nieźle wstawiona, nie zauważyła naszego dziwnego kontaktu wzrokowego. Wytrzymałem bez mrugnięcia.

Była znana z rygorystyki i dystansu. Zimna profesjonalistka, widząca tylko spóźnienia uczniów, cyfry i równania, czyli wszystko, co kojarzy się ze wzniosłymi uczuciami romantycznymi.

A jednak coś działo się między nami. Bezgłośnie, bezszelestnie.

W przelotnych spojrzeniach była chemia, podrażniająca ośrodki mózgu odpowiedzialne za przyjemność, seks, pożądanie. I odpowiednio pobudzające moją fizyczność.

Nie mogłem z nią rozmawiać nawet o zezowatej, leniwej sprzątacze Rudlikowej bez starannie ukrywanego wzrodu. Choć ubierała się stosownie do wykonywanego zawodu, czyli spódniczka tuż przed kolana i stonowany kolorystycznie żakiet, ja i tak oczyma wyobraźni widziałem wszystko, co jest powyżej rąbka tej spódnicy i tylko to, co opinała dopasowana marynarka.

Zbereznik jeden.

Ale coś jest na rzeczy. Miałem wielokrotnie nieodparte wrażenie, że jej wzrok jest podobny do mojego.

Głodny mojej osoby.

Teraz siedziała naprzeciwko, w powycieranych džinsach i grubym, szarym swetrze z golfem, pasującym barwą do jej oczu. Na nogach adidas, przez co wydawała się dużo niższa, gdy stała. Tak ze sto sześćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu. Bez szpilek, czubkiem głowy sięgała mi najwyżej do nosa. Delikatny makijaż i lekki nieład krótkiej fryzury z balejażem powodował, że podobała mi się jeszcze bardziej, niż odstawiona w firmowy komplet.

Taka dziewczęca.

Znowu zatrzęsło na wertepach i poleciałem na Lidkę, uderzając głową w jej ramię.

– Piotrusiu-opałku, nie molestuj nam szefowej katedry. – Małgośka pogroziła mi palcem. – Potem da nam w robocie popalić, jak będzie zmolestowana... – Roześmiała się. Nieco za głośno.

Wszyscy już byliśmy dobrze rozbawieni.

– No to po bączku! – odezwał się pijący do tej pory w milczeniu, Bogdan – wuefista.

Ośrodek rzeczywiście dobrze się prezentował. Nie nuworyszowskim bogactwem kiczowatych gipsowych amorków czy krasnali sikających do miniaturowych oczek wodnych, czy pseudo-renesansowych balustrad i kolumn wejściowych, często ładowanych taśmowo w takie ośrodki dla grubo-portfelowców.

Stare stajnie zaadoptowane na kompleks sypialny, na dawnym padoku wielka, drewniana wiata z kamiennym grillem. Obok krąg na ognisko i ławki z poprzecinanych wzdłuż bali. Wokół niepoprawiana natura krzywych sosen i strzelistych buków.

Pachniało żywicą i wygrzaną majowym słońcem ziemią. Wiosną.

Ponieważ było wyjątkowo ciepło, rozsiedliśmy się na wielkim tarasie. Oczywiście kontynuowaliśmy zawieranie dalszej znajomości z tajemniczym napitkiem Waldka, którego receptury strzegł zazdrośnie. Miód, jakieś przyprawy, koniecznie woda źródłana.

Wchodziło jak maselko, choć z pięćdziesiąt koni miało.

– Zwiedzmy teren! – Bożena podniosła się nieco zbyt gwałtownie. Plastikowy fotel spadł z łomotem z tarasu.

Parę osób wstało.

– No... to idź... idziemy! – Artek z fizyki przytrzymał się barierki. – Nooo... chodź... chodźcie!

Ruszyliśmy pod górę wąską ścieżką poprzecinaną wyrastającymi w poprzek korzeniami jodeł i wysypaną dywanem zeschniętego igliwia. Ostre majowe słońce prześwitywało przez korony drzew i szczypało w policzki.

Lidka szła obok mnie.

Czułem, chłonałem jej bliskość, ale uważałem, żeby nie okazywać po sobie nic szczególnego. Fizyczny pociąg czy coś więcej? Przecież tak naprawdę w ogóle się nie znamy. Co takiego intrygującego w niej jest? Chyba też coś do mnie czuje, tylko jak zacząć?

Potknęła się na korzeniu i złapała mnie za rękę. Trzymała ją przez chwilę i nagle szybko schowała nasze złączone dłonie do mojej kieszeni kurtki. Oblała mnie fala gorąca. Jak sztubaka na pierwszej randce.

Rozejrzałem się ukradkiem, ale chyba nikt nie zwrócił na to uwagi. Szliśmy ostatni.

– W porządku? – Zapytałem z głupia frant tylko po to, żeby powiedzieć cokolwiek. Straciłem rezon, czując jej dłoń w mojej kieszeni.

Popatrzyła mi w oczy.

– W porządku.

Szum górskiego potoku przybliżał się coraz bardziej. Jest.

Podskakuje na otoczkach jak młody żreback, perli się mgiełką drobinek wody, szemra wesoło niczym upojony młodością nastolatek.

Siedzieliśmy na brzegu, mocząc nogi. Piersiówka Waldka krążyła jak przysłowiowa fajka pokoju. Nie ma to, jak wyjazdy integracyjne. Nawet zasady higieny poszły w ką, bo wszyscy żłopali z gwinta.

Usiadłem z nią trochę z boku. Cały czas nie puszczała mojej ręki w kieszeni. Czułem, jak mi potnieje dłoń i robi się coraz bardziej ciepła, ale bałem się wysunąć.

Pryśnie czar i już się nie wróci.

Parę ukradkowych spojrzeń i uśmiezków jednak zanotowałem. A kij im w mordę. Pójdzie na karb alkoholu.

Gwałtowne szarpnięcie wyrwało mnie z zamyślenia. Lidka leciała do wody, a ponieważ siedziała w tej kieszeni, pociągnęła mnie za sobą.

Artek śmiał się głośno na brzegu.

– No, papużki-nierozłączki! Do wody! Ostudzić emocje.

Przez moment widziałem jej wykrzywioną złością twarz.

Cholera, w tej minie była nie tylko złość... coś jeszcze... Strach?

Ale to była chwila. Wszyscy śmiali się głośno, po chwili ona również.

Staliśmy po kolana w lodowatej wodzie. Spodnie przemakały nam coraz wyżej.

– I jak? Pomogło? – zawołała z brzegu Gośka.

– Wariaci.

Wyszliśmy, ociekając wodą i piszcząc przemoczonymi butami.

– Wracamy – powiedziałem. – Musimy się przebrać.

Ostrożnie schodziliśmy z Lidką w dół. Teraz nie musiałem się ukrywać z trzymaniem jej.

– Nie byłaś zachwycona żartem – rzuciłem.

– Boję się wody. Mam złe wspomnienia...

Przez moment mocniej ścisnąłem jej rękę.

Na takich imprezach możliwości spożywania alkoholu stają się inne. Niby pijemy cały dzień, ale nikt nie jest pijany. Dużo łażenia, jedzenia, wrażeń, powietrza jak kryształ.

Tu naprawdę ma się uczucie, jakby było stąd bliżej do gwiazd niż do ziemi.

A gwiazd było mnóstwo, kiedy rozpoczynaliśmy ognisko. Krążyły wokół nas (może to pod wpływem „miodówki” Waldka?).

Światłocienie tańczyły na trawie i korze najbliższych drzew.

Bukowe polana, czerwone ze wstydu, syczały, jarząc się pomarańczowo w ogniu. Strzelała watra z wyschniętych sosnowych kłód.

Z pamięci wypelzały harcerskie obozowe piosenki – „Majka”, „Buty siedmiomilowe” czy kultowe kawałki Perfectu lub Lombardu.

Jesteśmy jeszcze pokoleniem mającym w pamięci takie zestawy startowe dobrych imprez.

Kiełbasa, karkówka, gar bigosu przygotowany przez życzliwych gospodarzy, śmiech, śpiew. I przemykający śmiało pomiędzy nami napitek wujka Waldka. Czegóż więcej chcieć?

Siedzieliśmy z Lidką naprzeciwko siebie. Za daleko na rękę.

Obserwowałem ją kątem oka i sam wyczuwałem jej ukradkowe spojrzenia. Zauważyłem, że bardziej udaje, niż pije.

– Kto przyniesie z kuchni resztę? – Wysoki głos Bożeny zabrzmiał jak u wróbla w ciąży. – Na tackach jest naszykowane...

Odłożyłem gitarę.

– Dobra. Przyniosę.

Lidka podniosła się również.

Ruszyliśmy w stronę budynku.

– Tylko pamiętaj, co mówiłam. – rzuciła za nami Gośka. – Nie molestuj nam szefowej!

– Nie ma w pobliżu strumienia dla ochłody. – roześmiała się. – Będzie potem osa w pracy.

Lidka wzruszyła ramionami.

– Jak nie dokończysz tego planu zajęć nadliczbowych do przyszłego wtorku, to nawet moje żądło poczujesz.

Wszyscy zaśmiali się chóralnie.

Szliśmy ramię w ramię w mroku ledwie rozpraszanym słabą żarówką nad bocznym wejściem.

Dziewczyna zadrżała.

– Wieczory jeszcze chłodne – mruknęła.

Jakoś tak impulsywnie, odruchowo, objąłem ją w pasie i przycisnąłem jej bok do swojego.

Pochyliłem się i szybko pocałowałem w usta.

Może za ostro? Rączka to co innego. Teraz albo dostanę w mordę, albo będzie dobrze.

Nie uciekła i nie dostałem w mordę.

Będzie dobrze.

– Zauważyłem, że oszukujesz przy picciu. To teraz jest ci zimno – rzuciłem przed siebie.

Mimo jej deklaracji czułem bijące od niej ciepło i lekki zapach „Evasion”.

Lubię te perfumy.

– Chcę wypić tylko tyle, żeby mi było łatwiej. Nie, żeby się upić.

– Łatwiej z czym?

Przystanęła i obróciła się do mnie twarzą. Poczulem jej usta na swoich. Długo. Zawirował szybko język, omiatając moje zęby.

Co to za smak? Waldkowego miodu? Migdałów?

– Łatwiej z tym... – powiedziała, odrywając się i łapiąc przez chwilę oddech. – Chodźmy po te tace. – Pociągnęła mnie za rękę.

Oszołomiony dałem się prowadzić jak dziecko.

W jasno oświetlonej kuchni unikaliśmy nawzajem swojego wzroku.

– Gdzie jest ta cholerna musztarda? – rzuciła do ściany.

– Widziałem w letniej kuchni. Tam za domem... – odpowiedziałem do drugiej ściany.

Podparłem się rękami oblat i powiedziałem, nie patrząc na nią:

– Lidka, od dawna jest między nami coś niewypowiedzianego. Ale to jest jeden zakład. Ta sama szkoła. Jak coś zaczniemy, to się nie ukryje. Masz męża...

– A ty żonę. – weszła mi w słowo.

Westchnąłem. Zużyłem chyba połowę zapasu tlenu w pomieszczeniu.

– Idę po tę cholerną musztardę.

Na zewnątrz odetchnąłem kilkakrotnie chłodnym powietrzem. Słaby odblask lampy kończył się po kilkunastu krokach. Dalej już tylko jasny księżyc oświetlał drogę, przebijając się z trudem swoim światłem przez korony drzew.

Do letniej kuchni było jakieś trzydzieści metrów.

Usłyszałem za plecami odgłos cichych, pośpiesznych kroków.

Złapała mnie za rękę, a sama oparła się o pień sosny. Przyciągnęła do siebie.

– Niech będzie jeden zakład. Niech będzie mąż i żona. Niech będzie do dupy z tym wszystkim... – wyszeptała mi do ucha.

Wsunęła zimną dłoń pod moją bluzę. Zadrzałem. Poczulem, jak kieruje ją w stronę moich sutków, które natychmiast stwardniały. Potem zaczęła zjeżdżać w dół. Niecierpliwie mocowała się z guzikiem w moich spodniach.

– Niech będzie do dupy... – powtórzyła głośniej.

*

Śniadanie w formie szwedzkiego stołu.

Nagle okazało się, że w ośrodku jest pełno gości. Przewijały się wokół grupki i pary. Hałasowały dzieci. Jakaś młodzieżowa ekipa złożona z kilku dziewczyn i długowłosych chłopaków, poubieranych w wytarte do bólu jeansy i wywleczone do kolan swetry, urzędowała na tarasie, pobrzękując na gitarze kawałki „Starego Dobrego Małżeństwa” i wystukując rytm na butelkach żywca.

Z geriatryczną nostalgią przypominałem sobie swoje czasy uczelnianych wędrówek po Bieszczadach. Dobrze, że klimat tych gór się nie zmienia.

– Chodź na chwilę do mojego domku. – Paweł mrugnął znacząco.

Podniosłem się. Podobno poranne kliny są jednym z objawów alkoholizmu. A niech tam. Jakoś damy radę.

Walnęliśmy po sto gram. Nawet mnie nie odrzuciło. Przyjemne ciepło zadrgało w żołądku. Po chwili po-

zytywny impuls przemknął po nerwach i rozjaśnił przyciężkawe myśli. Chyba jednak coś jest ze mną nie tak.

Przez okno zobaczyłem idących w naszą stronę Waldka, Mirka i Artura. Ciekawe czy dziewczyny też mogą...

– No to jeszcze po razie i jedziemy na spływ – powiedział Paweł, rozlewając ponownie.

Unikałem Lidki po wczorajszej nocy. Nie bardzo wiedziałem jak się zachować i musiałem pozbierać myśli. A myślało mi się teraz jasno. Kontynuować czy udawać, że to, co się stało, było przypadkiem i wynikiem wypitego alkoholu?

Przyglądałem się, jak wsiadała do płaskodennej łodzi z numerem trzy. Właściciel przystani – gruby facet z czerwoną, nalaną twarzą wrzucał kapoki na dno.

– Kto z państwa potrzebuje, to proszę zakładać. – Stał blisko, więc wyczułem, że wczoraj musiał świętować rozpoczęcie sezonu. Gdzie się człowiek nie obróci, to woda. Wspominał, że jesteśmy pierwszą grupą w tym roku.

– Piotrek, siadaj koło mnie – dziewczyna poklepała miejsce obok siebie. Popatrzyła na mnie z lekkim uśmiechem. Cholera, śliczna jest z tym uśmiechem! Czułem, że mięknę i nie będzie to przelotny romans na wyjeździe integracyjno – wypoczynkowym.

Siadłem obok.

– Piłeś? – skrzywiła się.

– Wszyscy pili.

– Ja nie.

– Bo ty jesteś święta i śliczna, wiesz? – Popatrzyłem w jej oczy i wziąłem za rękę. A niech się dzieje co chce.

Zmieściliśmy się w pięć łodzi. W naszej było nas ośmioro. Z mężczyzn tylko ja i Paweł oraz stary flisak, który stał na podwyższeniu na końcu, trzymając stery. Młody, może siedemnastoletni chłopak, jako jego pomocnik, właśnie odpychał długą żerdzią nasz rzeczny statek od brzegu.

San rozlewał się brudnym, brązowo-szarym morzem. Po wiosennych roztopach masy wody spłynęły z gór, tworząc Amazonkę Podkarpacia. Toczyła połamane gałęzie, jakieś konary z zielonymi gałęziami, fragmenty desek i kępy roślinności. Nie wyglądało to zachęcająco. Rzeka była co najmniej trzy razy szersza od normalnego stanu. I zapewne głębsza, bo pomocnik flisaka już po paru metrach nie mógł sięgnąć swoją tyką dna.

Do pierwszego zakrętu, odległego od przystani jakieś dwieście metrów, toczyliśmy się szybko, kierowani

przez starego raczej w stronę środka nurtu. Tu było zdecydowanie spokojniej.

Na zakolu prąd zdecydowanie przyśpieszył. Rozpoczął się taniec rzeczy spływających z nurtem. Pokazały się duże wiry zasysające wszystko, co łapy znalazło się w ich pobliżu. Łodzią zaczęło bujać coraz mocniej. Z niepokojem obserwowałem twarz starego, która pokryła się potem, kiedy próbował wykierować nas w centrum rzeki. Chłopak rozpaczliwie poszukiwał dna swoją żerdzią.

– Trzymać się mocno! – wychrypiał flis – spróbuję do brzegu... dalej nie można...

Za późno zorientował się, że popełnił błąd. Tuż nad wodą, w poprzek pojawił się wielki konar drzewa rosnącego nad brzegiem. Przy normalnym stanie wód zapewne wisiał ze trzy metry nad nurtem. Ale nie teraz. Płynąca przed nami „dwójka”, w której byli ludzie z innych działów naszego zakładu, z impetem uderzyła w niego. Usłyszeliśmy trzask, głuchy łomot i kilka osób wpadło za burtę.

Mimo chłodu idącego od wody, pot spływał ciurkiem po naszym kierującym. Pędziliśmy błyskawicznie w kierunku tamtych.

– Kłaść się na dnie! – krzyknął, ale już nie zdążyliśmy tego zrobić.

Uderzyliśmy z całą mocą w „dwójkę”. Poczułem, jak ogromna siła wyrywa z mojej ręki dłoń Lidki. Nie puściłem. Usłyszałem jej urywany krzyk i plusk. Szary sweter zafalował na wodzie. Kątem oka zobaczyłem głowę Bożeny zmierzającą do ogromnego wiru przed nami. Jej przerażone oczy i usta rozchylone w krzyku, którego nie było słyhać w szumie i krzykach innych kobiet. Zakręciło ją przez moment i zniknęła.

Jedną ręką trzymałem dłoń Lidki. Drugą zaciskałem na konarze. Jeśli puszcę, pójdziemy prosto w ten cholerny wir, który przed chwilą pochłonął Bożenę. Z tyłu Paweł wciągał z trudem Gośkę do łodzi. Słyszałem, jak przeklina. Pękały mi ścięgna. Boże, nie wytrzymam!

Jej oczy były tak zamglone przerażeniem. Usta co chwilę zalewała woda.

– Pi... Pio... – wykrztusiła – ja nie.... – zachłysnęła się wodą – trzym... ..ie...

Wyślizgiwała się. Powoli, nieubłaganie. Mógłbym ją złapać drugą ręką, ale puszcę wtedy konar i wszyscy pójdziemy w ten wir. Puszcę konar... puszcę... Lidka..

Straciłem nagle jej dłoń. Po prostu rozchyliła palce i nic już nie zdążyłem zrobić, zareagować. Odruchowo schwyciłem obiema gałąź. Przysunąłem się do burty.

– Nie bądź idiotą – wysapał mi Paweł do ucha, trzymając za bluzę. – Za późno.

Usłyszałem urwane „Piotrek!” i zniknęła.

*

Na brzegu kłębił się tłum policjantów, karettek i przedstawicieli przeróżnych służb ratunkowych. Pośród nich uwijali się z mikrofonami dziennikarze, którzy wylądowali przed chwilą helikopterem. Jakaś tleniona blondyna w beżowym żakiecie, ściskająca kurczowo dyktafon, dopadła do mnie. Bardzo podobny żakiet nosiła w pracy Lidka

– Czy był pan uczestnikiem spływu? Co może pan powiedzieć na temat organizacji...

– Spierdalaj.

Wszedłem do naszego autokaru. Zza oparcia fotela wyjąłem półlitrówkę Waldkowego cudu. Wypiłem w pół minuty.

Ciało odnaleziono po trzech tygodniach. Mąż rozpoznał je po charakterystycznym pierścionku, łańcuszku z fantazyjnym krzyżykiem i ubraniu. Testy DNA potwierdziły tożsamość. W sądzie człowiek z ekipy poszukiwawczej, zeznający jako świadek, powiedział mi, że kiedy je znaleźli, w prawym oczodole zamieszkał już dorodny węgorz.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

puszczyk, dodano 29.01.2019 11:16

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.